

**SYN
SWOJEGO
OJCA**

DOMINIK SOKOŁOWSKI

LITERATE

DZIEŃ 1

PIĄTEK, 2 PAŹDZIERNIKA 2015

Żwir chrząścił mu pod butami, kiedy szedł po zniszczonej nawierzchni czegoś, co dawniej było jedną z wewnętrznych dróg Stoczni Gdańskiej. Cicho zaklął, kiedy minął go rozpedzony wóz transmisyjny stacji TVN 24. Na świeżo wyczyszczonym płaszczu osiadły drobinki pyłu ze wzbitego przez koła furgonetki tumanu. Przynajmniej już wiedział, dokąd ma iść. Skierował się w stronę, z której nadjechał samochód. Przeszedł obok gruzowiska po wyburzonej pochylni, minął nieczynny stoczniowy żuraw osadzony na skorodowanej suwnicy i wyszedł wprost na ceglany budynek położony na opuszczonym nabrzeżu u ujścia Motławy do Martwej Wisły, na której powierzchni, cokolwiek mętnej, odbijało się jesienne słońce. W oddali dostrzegł zamglony pylon mostu wantowego imienia Jana Pawła II.

Przed piętrową budowlą parkowało kilka pojazdów policji i karetka. Dwaj sanitariusze spokojnie palili papierosa, więc lekarz z pewnością oficjalnie już stwierdził zgon i teraz tylko czekali, żeby zabrać nieboszczyka do prosektorium.

Wejścia, przegrodzonego białą-czerwoną taśmą, pilnował umundurowany policjant.

– Pan dokąd?

– Prokurator Szmit. – Okazał służbową legitymację.

– Przyszedł pan pieszo?

– Lekarz zalecił mi spacer. – Przecież jako rodowity gdańszczanin nie mógł się przyznać, że nie potrafił odnaleźć właściwego wjazdu i w końcu zaparkował koło budynku mieszczącego historyczną salę BHP, w której podpisano słynne porozumienia sierpniowe w 1980 roku, skąd wyruszył na poszukiwania miejsca zbrodni *per pedes*. Otrzymany adres – magazyn mebli okrętowych, budynek o numerze inwentarzowym sto pięćdziesiąt jeden – niewiele pomógł.

Funkcjonariusz wpuścił go do środka. Wewnątrz kręciło się kilka osób, część w kurtkach z odblaskowym napisem „Policja”. Bliżej wejścia stał samotny, ogolony na zero mężczyzna w niemodnej skórze, chyba pamiętającej jeszcze czasy bazaru na stadionie Stoczniowca, na którym handlowali Ruscy. Był niedźwiedziej postury, a ciasno opięta kurtka podkreślała kanciastość sylwetki. Na widok prokuratora uśmiechnął się.

– Cześć, Leo. – Leo było zdrobnieniem od Leon, lecz nikt ze znajomych nie używał pełnej wersji imienia prokuratora. „Leon” brzmiało strasznie poważnie i postarzało, stawiało go obok takich postaci jak Wujek Dobra Rada albo Piaskowy Dziadek.

– Witaj, Jurek.

Uścisnęli sobie dłonie. Podinspektor Jerzy Wasilewski był jednym z najbardziej doświadczonych detektywów wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, a prywatnie – wieloletnim znajomym Szmita. Zaczynali pracę, odpo-

wiednio w prokuraturze i w policji, mniej więcej w tym samym czasie, w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wówczas byli zastrzykiem świeżej krwi wpompowanej do krwiobiegu postkomunistycznych instytucji, pozbawieni, jak się wydawało, PRL-owskich obciążeń. Mawiali o sobie, że należą do drugiego zaciągu – w skład pierwszego weszli dysydenci, którzy trafili do rozmaitych służb zaraz po wyborach czerwcowych osiemdziesiątego dziewiątego roku. Okazało się, że było ich zaskakująco niewiele i tworzyli tylko cienką warstewkę lukru na grubym cieście starych kadr.

– Widziałem, że ekipa TV już się zawinęła.

– Nakręcili setkę, ale mieli świadomość, że materiał nie pójdzie w głównym wydaniu.

– Morderstwa już się nie sprzedają?

– Nie takie. To jakiś lump.

– Kocham takie sprawy. – Szmit wzniósł oczy ku niebu. – Szczególnie kiedy dostaję je poza kolejnością.

– Dałeś się zrobić jak zwykle – zachichotał Wasilewski. – Jesteś za mało asertywny.

– Wypadała kolejka Nienackiego, ale on jest dziś ostatni dzień w pracy i idzie na urlop. Miał ten trup gnąć nieruszany przez dwa tygodnie? Dobrze, że chociaż trafiłem na ciebie – westchnął Szmit. Dobra współpraca między śledczym i prokuratorem znacznie przyspieszała dochodzenie, a w razie komplikacji pozwalała omijać rafa biurokratycznych przeszkód.

– Pudło – stwierdził podinspektor, a jego usta wykrzywił złośliwy uśmieszek. – Od wczoraj jestem na L4.

– Żartujesz...

– Nic a nic nie żartuję. – Policjant wyjął chusteczkę i demonstracyjnie wysmarkał nos. – W ogóle nie powinno mnie tu być, lecz znając twoje malkontenctwo, przyjechałem specjalnie, żeby przedstawić ci naszą nową koleżankę.

– Koleżankę? Nową? – Szmit pytająco uniósł brew.

– Chyba nie jesteś przebrzydłym mizoginem albo innym seksistą? Podkomisarz Katarzyna Formela awansowała do nas po dwóch latach wzorowej służby w komendzie powiatowej w Kościerzynie. To jej pierwsze samodzielne śledztwo w sprawie o zabójstwo. Nie rób kwaśnej miny. – Wasilewski skomentował grymas na twarzy prokuratora, który wyglądał, jakby kazano mu zjeść cytrynę. – To naprawdę zdolna dziewczyna, a przypadek nie wydaje się trudny.

– Dobra – skapitulował Szmit. – Gdzie macie denata?

– Pozwól, że będę czynił honory domu. – Wasilewski skłonił się teatralnie i skinął na znak, żeby iść za nim. Kiedy przemieszczali się w głąb rozległego pomieszczenia, prokurator miał chwilę, żeby rozejrzeć się po zdewastowanym wnętrzu. Podłogę zaścierała warstwa wszelakiego śmiecia, a ściany oraz filary podtrzymujące strop pokrywało wulgarne graffiti. Przez niewielkie, pozbawione szyb okna zabezpieczone kratami (jak widać nieskutecznie) wpadały smugi światła, w których wirowały drobinki kurzu. Powietrze śmierdziało stęchlizną i uryną. Wydawało się, że wy szabrowano stąd wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– Pomyśleć, że kiedyś powstawały tutaj statki – mruknął Szmit.

– Niedługo znikną nawet te resztki. Zbudują jakiś biurowiec albo centrum handlowe.

Zbliżyli się do miejsca, w którym krzątało się kilku policyjnych techników. Błyskał flesz aparatu, ktoś zabezpieczał odciski palców, ktoś inny rozpylał na ścianie roztwór luminolu. Przy schodach na górną kondygnację młoda funkcjonariuszka rozmawiała z dwoma chłopakami w dresowych bluzach.

Denat, niemłody już mężczyzna otoczony wianuszkiem żółtych kartoników z czarnymi cyferkami, leżał na brzuchu. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to fakt, że miał opuszczone spodnie, a z jego odbytnicy wystawał stalowy pręt, jakiego używa się do zbrojenia betonowych konstrukcji.

Szmit dawno temu pozostawił za sobą etap, kiedy zwłoki budziły w nim lęk i obrzydzenie. Pamiętał, gdy przy jednej z pierwszych spraw – chodziło o brutalne zabójstwo kobiety na tle seksualnym – zwymiotował na miejscu zbrodni. Anegdotki o tym zdarzeniu długo krążyły wśród policjantów komendy miejskiej. Teraz odczuwał tylko lekki dyskomfort, zaburzenie poczucia estetyki. Pomyślał, że człowiek jest w stanie przyzwyczaić się niemal do wszystkiego, a rutyna stępią wrażliwość. Panował nad wstrętem fizycznym, jednak gwałtowna śmierć ze względu na swoją nienaturalność nadal budziła w nim silny odruch sprzeciwu. Dlatego schwytanie i ukaranie sprawcy było dla niego takie ważne. Był to sposób na przywrócenie zakłóconej równowagi w naturalnym porządku rzeczy.

Kontynuował oględziny zwłok. Ofiara ubrana była w dżinsową kurtkę i mocno znoszone adidas. Pobrużdżona, zniszczona życiem twarz zastygła w pośmiertnej masce, spod na wpół przymkniętej powieki upiornie zezowało przekrwione oko, rozchylone wargi ukazywały szerniałe pieńki popsutych zębów, rzadzące włosy były pozlepiane krwią.

– Pierwsze wnioski? – spytał Szmít, nie adresując pytania do nikogo konkretnego.

– Prawdopodobnie najpierw dostał cios w głowę, a następnie, kiedy nie był w stanie się bronić, sprawca wsadził mu ten pręt w tyłek – odpowiedział mu kobiecy głos zza pleców. Należał do policjantki, która wcześniej przepytowała nastolatków.

– Podkomisarz Katarzyna Formeła. Prokurator Leon Szmít z prokuratury rejonowej Gdańsk-Oliwa. – Wasilewski dokonał wzajemnej prezentacji.

Dziewczyna była niewysoka, lecz proporcjonalnie zbudowana. Miała ładne, duże i ciemne oczy oraz lekko szpiczasty nosek. Włosy w kolorze ciemnego blondu spięła w koński ogon. Workowaty, policyjny kombinezon maskował jej figurę.

– Czas zgonu? – indagował dalej Szmít.

– Lekarz stwierdził, że nie żyje od kilkunastu godzin, najprawdopodobniej zginął wczoraj późnym wieczorem między dwudziestą pierwszą a północą.

– Sądzi pani, że zginął od razu, czy pierwsze uderzenie tylko go obezwładniło?

– Jednoznacznie wykaże to sekcja, lecz stawiam dolary przeciwko orzechom, że wykończył go cios w głowę.

– Formela przykucnęła przy zwłokach i dotknęła rany na głowie ofiary ręką w lateksowej rękawiczce. – Uderzenie było niezwykle silne, czaszka została zmiażdżona, być może zostało zadane w stanie silnego wzburzenia.

– Zbrodnia w afekcie? – Szmit zmarszczył brew. – A ten pręt? Czy to mogło mieć podłoże seksualne? Rodzaj gwałtu analnego *post mortem*?

– Nie wiem. Może jakaś demonstracja albo sygnał związany z porachunkami w świecie przestępczym.

– Półświatek? Znamy jego tożsamość?

– W portfelu miał dowód osobisty na nazwisko Henryk Klimek, urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym, brak adresu zamieszkania, ale z pewnością siedział.

– Skąd pani to wie?

Formela wskazała na twarz zamordowanego. Pod lewym okiem można było dostrzec coś jakby ciemną kropkę, a także ciemną kreskę, jak u kobiety, która podkreśla oko eyelinerem.

– Więzienne tatuaże – wyjaśniła. – To tak zwana cynkówka oraz mgiełki – oznaczają grypsującego.

Następnie uniosła prawą dłoń ofiary.

– Przynależał do kasty złodziei. – Pokazała wytatuowaną kropkę między palcem wskazującym a kciukiem. – A te punkciki na samym palcu wskazują, ile lat odsiedział.

Ostatni tatuaż znajdował się na nadgarstku i przypominał różę wiatrów.

– To gwiazda recydywy – wyjaśniła Formela.

Szmit uśmiechnął się w duchu. Sam w pierwszej chwili przeoczył wytatuowane długopisowym tuszem znaczki. Wasilewski miał rację, to bystra dziewczyna. Miał nadzieję, że współpraca między nimi dobrze się ułoży.

– Sprawdzi się w kartotece i rozpyta wróbelków na mieście, to adres wyjdzie – wtrącił Wasilewski.

– Miał komórkę?

– Telefonu nie znaleźliśmy. Może nie miał?

– Dzisiaj każdy ma komórkę. Nawet bezdomni. Ciało znalazły tamte dzieciaki? – Szmit wskazał na dwóch wyrostków.

– Tak. Od razu wezwali policję.

– Co tutaj robili?

– Przygotowywali grę miejską.

– Słucham?

– Takiego LARP-a... – Podkomisarz zorientowała się, że próbuje wyjaśnić *ignotum per ignotum*. – Coś jak harcerskie podchody. Wytyczają trasę osadzoną w miejskiej przestrzeni, na której rozmieszczają wskazówki i zadania dla uczestników. Tematyka takiej gry często związana jest z miejskimi legendami albo charakterystycznymi miejscami.

– Rozumiem. Weszli tutaj legalnie?

– Twierdzą, że mają zgodę właściciela obiektu.

– Niech ktoś od razu zabierze ich na komendę i spisze oficjalne zeznania. Trzeba im zrobić daktyloskopię. Zanim odkryli świętej pamięci Henryka, mogli czegoś dotykać. Co jeszcze mamy?

– Krople krwi na ścianie, z pewnością ofiary. Z narzędzia zbrodni starto odciski palców, ale za to mamy

odcisk buta sprawcy, wygląda na męski. Może laboratorium wyciśnie coś więcej.

– Trzeba zabezpieczyć te wszystkie śmieci. – Szmit wskazał zaścielające podłogę potłuczone butelki oraz niedopałki papierosów. – Niech laboratorium weźmie je pod lupę. Większość pewnie zalega tutaj od dłuższego czasu, ale może sprawca lub ofiara także palili lub pili, zanim doszło do rękoczynów.

– Łapiduchy mogą zabrać ciało? – wtrącił się Wasilewski.

– Jeśli technicy skończyli, to nie widzę przeszkód. Podinspektor oddalił się po noszowych.

– Na zewnątrz widziałem kamerę przemysłową, może coś uchwyciła. Niech się pani skontaktuje z ochroną. Na poniedziałek proszę przesłać ustalenia w tym zakresie i zawartość kieszeni denata. No i trzeba jak najszybciej ustalić jego adres.

– Zrobi się.

– To chyba wszystko. Wracam do biura, muszę ogarnąć papierologię. Pani podkomisarz. – Szmit skinął głową policjantce.

– Do widzenia, panie prokuratorze.

Szmit raz jeszcze przeszedł przez magazyn, w wejściu mijając się z sanitariuszami taszczącymi nosze. Na zewnątrz zaczepił go mężczyzna w ortalionowej kurtce z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi.

– Marek Sobczyk, „Dziennik Bałtycki”, czy może pan kilka słów komentarza? – Wręczył Szmitowi swoją wizytówkę.

Szmit zdziwił się, bo wcześniej nie widział żadnych gapiów ani nikogo z mediów poza ekipą TVN-u odjeżdżającą w siną dal. Facet mógł mieć ze dwadzieścia kilka lat, nosił okulary w rogowych oprawkach osadzone na haczykowatym nosie przypominającym dziób papugi. Ciemne, lekko przetłuszczone włosy zaczesał z przedziałkiem. Na piersi miał przypięty zalaminowany identyfikator, tak nieczytelny, że prokurator zdołał odczytać jedynie słowo „prasa”.

– Ofiarą zabójstwa jest Henryk K., lat pięćdziesiąt osiem. – Szmit przybrał urzędowy ton. – W tej chwili policja zabezpiecza ślady na miejscu przestępstwa. Pod uwagę brane są różne wersje zdarzenia, które będą badane i weryfikowane na bazie zebranego materiału dowodowego.

– Czy to mogły być gangsterskie porachunki?

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę podać więcej szczegółów. – Szmit zasłonił się wyświechtaną formułką. Chłopak chciał coś jeszcze powiedzieć, ale prokurator po prostu go wyminął i podszedł do Wasilewskiego, który stał obok karetki.

– Znasz gościa?

– Wolny strzelec. Współpracuje z redakcjami lokalnych gazet i portali oraz prowadzi bloga „Kronika kryminalna”. Ma całkiem sporo odsłon.

– Maniak-entuzjasta?

– Wiem, że wolałbyś udzielać wywiadu wypindrzonej dupeczce z telewizji, ale Sobczyk jest w porządku.

– Skoro tak twierdzisz. – Szmit wzruszył ramionami. – Muszę lecieć, a ty się kuruj.

- Jakoś nie zauważyłem twojego samochodu...
- Zaparkowałem kawałek dalej.
- Jasne – roześmiał się Wasilewski. – A lekarz zalecił ci spacer.

Szmit machnął tylko ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Zrobił pięciominutowy spacer, zanim dotarł z powrotem do auta. Widok mijanych po drodze opustoszałych hal naszpikowanych wentylatorami i świetlikami wprawiał w nastrój przygnębienia. Okolicę zdominowało Europejskie Centrum Solidarności, którego rdzawa bryła przywodząca na myśl nieukończony kadłub stanowiła niezamierzone *memento* polskiego przemysłu stoczniewego. Pilotem otworzył swoją dumę – srebrną toyotę rav4 – zapiął pasy, uruchomił silnik i włączył radio. Leciąły wiadomości.

– Wciąż duża przewaga PiS nad Platformą, Zjednoczona Lewica wyrasta na trzecią siłę. Trwa kampania wyborcza przed wyborami parlamentarnymi zarządzonymi na dwudziestego piątego października. Według najnowszego sondażu PiS nie zdobędzie samodzielnej większości – ogłosił radosnym tonem spiker. – Ze świata. Rosyjskie siły powietrzne zbombardowały cele w Syrii. Jak donoszą lokalne źródła, bomby nie spadły na bojowników Państwa Islamskiego, tylko na pozycje przeciwników prezydenta Baszszara al-Asada popieranego przez Moskwę...

Przestawił radio na odtwarzanie CD. Z głośników popłynęły mocne i ostre punkrockowe brzmienia zespołu Armia:

*Zostaw ten kraj przed tobą raj
uważaj, tam zostaniesz sam
nigdy nie wrócisz, nigdy nie zginiesz
dokąd uciekasz, dokąd tak płyniesz?
Aguirre Aguirre...*

Szmit przywołał na moment wspomnienie atmosfery młodzięczego buntu i święta wolności, gdy w tajemnicy przed rodzicami pojechał na festiwal w Jarocinie w 1987 roku. Miał wtedy szesnaście lat. Kiedy wrócił do domu, ojciec po raz ostatni w życiu złożył mu skórę. W tamtym czasie stale darli koty i gdyby nie łagodzący wpływ mamy, chybaby uciekł z domu, w konsekwencji pewnie nie zdał matury i nigdy nie został prokuratorem...

Przerwał tok myśli i skoncentrował się na jeździe. Płynnie włączył się do ruchu w ulicę Jana z Kolna, trafił na zielone światło przy skrzyżowaniu z Podwalem Grodzkim i chwilę później minął pięknie odremontowane, neorenesansowe budynki Dworca Głównego z dominującą wieżą zegarową. Utrzymany w podobnym stylu sąsiedni budynek dawnej przychodni kolejowej skrywały rusztowania, powstawał tam hotel. Minął Hucisko, zamknięte dla ruchu w związku z pracami budowlanymi przy powstającym Forum Gdańsk – wielkim centrum handlowo-biurowym nad kanałem Raduni – przejeżdżając obok dawnego pałacyku komisarza Ligii Narodów, obecnie siedziby rady miasta. Zmiana organizacji ruchu powodowała na tym odcinku permanentny korek, w którym utknął na kilka minut.

W końcu wjechał w aleję Armii Krajowej. Tutaj ruch był umiarkowany, zresztą Gdańsk, pomijając czasowe utrudnienia takie jak te napotkane przed chwilą, był najmniej zakorkowanym z dużych miast w Polsce. Dwulitrowy motor terenówki mógł pokazać swoją moc na pnącym się pod górę trzypasmowym odcinku trasy. Po lewej stronie mijał blokowisko na Chełmie, po prawej przycupnęło osiedle domków jednorodzinnych. Nadłożył trochę drogi, ale dzięki temu cały czas poruszała się dwupasmówkami. Skręcił w Łostowicką, którą dotarł do ulicy Nowolipie i towarzyszącej jej nowej linii tramwajowej. Na wysokości centrum handlowego Morena musiał czekać na lewoskręcie dwie zmiany świateł, zanim udało mu się wjechać w Piekarniczą. Zaparkował na służbowym parkingu pod nowoczesnym kompleksem biurowców.

Trzy bliźniacze klocki mieszczące sąd rejonowy Gdańsk-Północ i wszystkie cztery prokuratury rejonowe obejmujące teren miasta nie były przykładem udanej architektury, która cieszy oko – raczej miały wiele wspólnego z potworkami, które powstawały w okresie PRL-u. Biała elewacja po kilku latach użytkowania zdołała się już przybrudzić. Jednak trzeba było przyznać, że w środku nie wyglądało to najgorzej. Wnętrza były obszerne i funkcjonalne, pomieszczenia służbowe oferowały niezłe warunki pracy. Za oknami było widać nawet trochę zieleni oraz granatową taflę pobliskiego stawu.

Szmit wszedł do swojego biura, rzucił płaszcz na wieszak, usiadł za biurkiem i uruchomił komputer. Czeka-

jąc, aż odpali się Windows, skierował spojrzenie na stojącą na blacie ramkę ze zdjęciem, które trochę ocieplało surowy, czysto użytkowy wystrój pomieszczenia. Fotografia przedstawiała jego małżonkę, Agnieszkę – sympatyczną brunetkę z promiennym uśmiechem – oraz dzieci: czteroletnią Anastazję, dziesięcioletniego Maciusia oraz najstarszego Waldemara (czternastolatek nie lubił, kiedy zwracano się do niego zdrobniął formą jego imienia).

W końcu wyświetlił się ekran startowy. Szmit wpisał hasło „Agnieszka73”, czyli imię i rok urodzenia żony.

– Cześć! – Do środka wszedł prokurator Czesław Nienacki, z którym Szmit dzielił pokój. W ręku trzymał papierowy kubek z kawą z automatu. – Jakbyś przyszedł chwilę wcześniej, przyniósłbym dwie – dodał tonem usprawiedliwienia. Długie pióra włosów opadały falami na ramiona, nadając mu wygląd roztrzepanego naukowca lub szalonego artysty. Był to mężczyzna słusznej tuszy, toteż za każdym razem, kiedy siadał albo okręcał się na siedzisku, niemiłosiernie piszczwały dobite tłoki hydraulicznej regulacji ustawień fotela.

Szmit odpowiedział coś zdawkowo i skupił się na pracy. Przede wszystkim zarejestrował sprawę Klimka w e-kancelarii w repertorium 2Ds. Na szczęście komputeryzacja na dobre zawitała do wymiaru sprawiedliwości, chociaż dla wielu kolegów z jego pokolenia komputer był czymś, co wymagało długotrwałych egzorcyzmów, dlatego wzory większości standardowych pism były dostępne w wewnętrznej sieci prokuratury. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy musiał mozolnie wypisywać dziesiątki

druzków i formularzy, a zamiast klawiaturą dysponował maszyną do pisania. Przy obłożeniu rzędu dwustu spraw rocznie powodowało to stratę mnóstwa czasu na papierkową robotę, której szczerze nie cierpiał. Rzecz jasna, podczas wielu lat studiów i aplikacji wtłoczono mu do głowy odpowiedni szacunek do formalnej strony prawa, dlatego dbał, żeby w papierach wszystko grało, lecz tym, co zawsze pociągało go w zawodzie prokuratora, była analiza dowodów, stawianie hipotez i wnioskowanie oraz dreszczyk emocji towarzyszący swoistemu pojedynkowi umysłów, gdy przy bardziej skomplikowanych sprawach musiał odtwarzać sposób myślenia i działania przestępcy. Zdarzało się, że była to emocjonująca rozgrywka, a zwycięstwu towarzyszyła moralna satysfakcja. W istocie zawsze wierzył, że stoi po stronie Dobra przeciwko Złu. Może było tak dlatego, że jego dziecięcymi idolami byli Luke Skywalker i Indiana Jones, jego światopogląd został ukształtowany przez sprzeciw wobec komuny, a później okrzepł w małżeństwie z praktykującą katoliczką. Starał się nie afiszować z tym przekonaniem za bardzo, gdyż nie chciał stać się obiektem drwin ze strony niektórych kolegów. Cynizm przeżerał korporację prawniczą w znacznym stopniu, a idealizm nie był w modzie.

Skończył wprowadzać dane do komputera, drukarka z cichym bzyčeniem wyrzuciła pokryte tekstem kartki. Na tekturowej okładce akt podręcznych prokuratora wpisał sygnaturę, kwalifikację prawną oraz informację, że toczy się ono w sprawie zabójstwa Henryka Klimka. Puste zostało tylko pole „przeciwko”, lecz miał nadzieję,

że wkrótce będzie można wytypować podejrzanego. Odłożył teczkę i ponownie zaczął stukać w klawiaturę komputera. Na początek spisał protokół wizji lokalnej z miejsca odnalezienia zwłok. Kiedy wreszcie uporał się z formalnościami, mógł pomyśleć nad wstępnym planem śledztwa.

Z początku szło mu dość opornie, bo Nienacki prawie cały czas na przemian sapał albo chrząkał. Ocierał przy tym chusteczką pot z twarzy. Centralne ogrzewanie już działało, chociaż za oknem było siedemnaście stopni i w pomieszczeniu istotnie było dość gorąco, poza tym Nienacki cierpiał na nadciśnienie. W końcu zdeperowany Szmit wyjął z szuflady słuchawki, wcisnął je na uszy i puścił playlistę z muzyką relaksacyjną. Przy akompaniamencie łagodnych tonów szemrzącego strumyka, spadających kropel deszczu oraz cichego szumu wiatru na tle spokojnej melodii naszkicował trzy prawdopodobne warianty przebiegu zbrodni.

Pierwszy scenariusz zdarzeń był mniej więcej taki: Klimek spotyka się ze znajomym w celu urządzenia alkoholowej libacji, na której miejsce upatrzyli sobie porzucony stoczniowy magazyn. Piją wysokokowe trunki, tracą samokontrolę, dochodzi do kłótni o byle co i kamrat ofiary uderza ją metalowym prętem w głowę. Później w pijackim widzie sprawca bezcześci zwłoki, w końcu ucieka. Typowa zbrodnia po polsku. Na wsi narzędziem często jest siekiera, w mieście zazwyczaj młotek albo zwykły nóż kuchenny. Przeciw tej wersji przemawiał sam pręt. Podczas oględzin miejsca przestępstwa Szmit

zwrócił uwagę, że złomiarze już dawno zabrali stamtąd wszelkie metalowe przedmioty, nawet kapsle od butelek. Zabójca musiał więc przynieść go ze sobą, a to sugeruje premedytację. Z drugiej strony na pobliskim gruzowisku z pewnością dałoby się znaleźć coś podobnego.

Wariant drugi. Klimek ma z kimś zatarg, zostaje zwabiony na teren stoczni, następnie odpowiednio: zatłuczony w wyniku gwałtownej scysji lub na skutek zaplanowanej egzekucji. Morderca odziera ofiarę z godności dosłownie i symbolicznie w ramach jakiegoś przestępczego rytuału, jest to sygnał, który ma być zrozumiały dla półświatka. Przekaz w stylu „kto ze mną zadziera, skończy tak, jak Klimek” czy – bardziej dosadnie – „chciał mnie wydymać i sam został wyruchany”. Trochę to było jednak zbyt teatralne jak na prostych zbirów. Sposób okaleczenia zwłok przywodził na myśl motyw osobisty, zemstę, odpłatę za doznaną krzywdę. Także siła, z jaką zadano cios, sugerowała silne wzburzenie sprawcy. Więc jednak działanie w afekcie? Warto sprawdzić, czy Klimek miał na sumieniu wyroki za przestępstwa seksualne.

Wreszcie wariant trzeci. Bezsensowna, przypadkowa zbrodnia bez klasycznego motywu. Klimek padł ofiarą zwyrodniałych napastników, których czymś prowokował, albo po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Kroniki policyjne notowały przypadki skatowania, podpalenia czy utopienia bezdomnych przez często młodocianych sprawców. Metalowy pręt w odbycie mieściłby się w tym schema-

cie. Dojrzewający mężczyźni często są pobudzeni seksualnie i mogło się to objawić w tego rodzaju perwersji.

Przy obecnym, bardzo fragmentarycznym stanie wiedzy wszystkie trzy wersje były równie prawdopodobne.

Rozdzwonił się służbowy telefon na biurku. Szmit podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– Z tej strony podkomisarz Formela. – Jej głos przez telefon miał aksamitny tembr i zmysłową chrypkę. – Udało się ustalić miejsce zamieszkania denata. Pomieszkiwał na zaprzyjaźnionej melinie. Wybieram się na przeszkowanie, chce mi pan towarzyszyć?

Szmit przez moment zawahał się. Nie uśmiechało mu się włączyć po zapyziałych norach, lecz z drugiej strony nie chciał sprawiać wrażenia, że jest jednym z tych prokuratorów, którzy całą robotę zwalają na policję, a sami piszą tylko umorzenie lub akt oskarżenia. Poza tym Formela była nowa i warto było zobaczyć, jak będzie sobie radzić, a Wasilewski niejako oddał ją pod jego skrzydła. Może to było wredne, ale obawiał się, czy młoda nowicjuszka nie położy śledztwa przez jakiś głupi błąd. Obowiązujący od lipca nowy Kodeks postępowania karnego, którego stosowania w praktyce wszyscy dopiero się uczyli, dokładał kolejną porcję potencjalnych mielizn i raf.

– W porządku. Gdzie się spotkamy?

– Może mnie pan zabrać spod komendy?

– Jasne, nie ma sprawy.

– Wie pan, staramy się oszczędzać na paliwie. – Dwadzieścia pięć lat demokracji i kapitalizmu, a poli-

cja nadal musiała oszczędzać na benzynie i materiałach biurowych. – Przejedziemy się na Orunię.

– Będę za dwadzieścia minut.

Szmit zakończył połączenie i wylogował się z systemu.

– Jakby ktoś mnie szukał, to jestem w terenie – oświadczył Nienackiemu.

Zrobiło się na tyle ciepło, że zrezygnował z płaszcza, z kieszeni zabrał tylko kluczyki. W aucie zerknął we wsteczne lustro. Ujrzał marsowe oblicze szarookiego czterdziestoczterolatka z czupryną szpakowatych włosów w początkowym stadium zakoli, przy kącikach oczu tworzyła się drobna pajęczyna zmarszczek. Przesunął dłonią po gładko ogolonych policzkach, na szyi spostrzegł kilka przeoczonych włosków zarostu.

– Przystojniak z ciebie, ale zaczynasz trochę dziecię. – Wyszczrzył zęby do swojego odbicia. Przekreślił kluczyk i uruchomił silnik.

Pani podkomisarz czekała tam, gdzie się umawiali. Tym razem była po cywilnemu, ubrana w wygodne czółenka na płaskim obcasie, bawełniane spodnie i żakiet. Delikatnie nacisnął klakson, żeby zwrócić jej uwagę. Spostrzegła go, pomachała i podbiegła do samochodu. Kiedy wsiadła, Szmit poczuł dyskretną woń perfum.

– Sprawdziłam kartotekę Klimka. – Formela wyjęła notes i zaczęła streszczać swoje notatki. – Typowy żywot kryminalisty. Pochodził z marginesu społecznego, pierwszy raz wszedł w konflikt z prawem w wieku czternastu lat i od razu trafił do poprawczaka jako szczególnie zdemora-

lizowany. Od tamtej pory wielokrotnie notowany, karany za kradzieże, włamania i rozboje. Spędził za kratami chyba większą część życia. Szczytem jego kariery była współpraca z mafią kradnącymi luksusowe fury w RFN. To było w latach osiemdziesiątych, później stoczył się z powodu alkoholizmu. Ostatnio kiblował za włam do monopolowego, wyszedł ponad rok temu. – Kiedy mówiła, prokurator miał czas lepiej jej się przyjrzeć. Miała szczupłe dłonie o długich palcach pianistki, skóra twarzy była gładka, rumiana i świeża, rozpięty zakiet ukazywał bluzeczkę, pod którą rysowały się przyjemnie zaokrąglone piersi. „Chyba dopada mnie kryzys wieku średniego” – pomyślał. Wystarczyło, że jechała z nim młoda, niebrzydka dziewczyna, i już chodziły mu po głowie kosmate myśli. Machinalnie przekręcił obręczkę ruchem kciuka i małego palca.

– Mam ze sobą jego portfel i rzeczy osobiste, tak jak pan prosił.

– Prosiłem na poniedziałek – uśmiechnął się.

Odpowiedziała również uśmiechem, ukazując rząd drobnych, równych zębów.

– Pomyślałam, że skoro wykonaliśmy już wszystkie czynności, a jest okazja, to mogę dać te drobiazgi dzisiaj. Na wszystkim były tylko odciski Klimka.

– Dzięki. – Szmit włożył foliową paczuszkę do schowka. – Czy Klimek miał na koncie jakieś sprawy o podłożu seksualnym? Gwałt, czyny lubieżne? Może nawet nie został skazany, bo na przykład ofiara nie wniosła oskarżenia?

– W aktach nie znalazłam niczego takiego. To raczej nie ten przypadek.

Tymczasem przejechali Rzeźnicką na tyłach Muzeum Narodowego mieszczącego się w późnogotyckim gmachu dawnego klasztoru franciszkanów i skręcili w Toruńską, która wyprowadziła ich na Okopową nieopodal budynku urzędu wojewódzkiego, przed wiaduktem nad torami kolejowymi. Za zjazdem na Zaroślak ulica zmieniła nazwę na Trakt świętego Wojciecha – patrona Gdańska i pierwszego polskiego świętego (choć pochodził z Czech), który poniósł męczeńską śmierć podczas misji do pogańskich Prus. Po prawej stronie ciągnął się wał przeciwpowodziowy wzdłuż kanału Raduni, którego wezbrane wody w lipcu dwa tysiące pierwszego roku przerwały stare wały w pięciu miejscach i całkowicie zalały dzielnice: Święty Wojciech, Lipce, Orunia oraz Niegowo.

– Proszę pamiętać i skręcić w lewo, w Dworcową – przypomniła policjantka.

Znaleźli się w historycznym centrum Oruni, między dawnym budynkiem stacji a neogotyckim kościołem świętego Jana Bosko. Widać było, że miliony wydawane na rewitalizację tej zaniedbanej dzielnicy przynoszą pewne efekty. Chodniki zyskały nową kostkę brukową, skwery zostały częściowo uporządkowane, niektóre zabytkowe kamienice miały odnowione elewacje. Całkiem niedawno odsłonięto pomnik „Inki”, osiemnastoletniej sanitariuszki Wileńskiej Brygady AK rozstrzelanej przez komunistów. Jednak, tak jak spodziewał się Szmit, oni przejechali przez przejazd kolejowy i uliczką z kocich łbów dotarli pod zapuszczoną kamienicę czynszową, przed którą stał radiowóz

z tutejszego komisariatu. Oparci o karoserię czekali dwaj funkcjonariusze. Zadawało się, że kontemplantą namazany na murze napis „CHWDP”. Pobliskie ulice nosiły nazwy takie jak Smętna bądź Głucha, które dobrze współgrały z otoczeniem.

Prokurator zatrzymał się za pojazdem policji. Wyszli i przywitali się z mundurowymi.

– Pierwsze piętro – powiedział jeden z policjantów.

Całą grupą weszli na klatkę schodową, która wprost krzyczała o remont. Cuchnęło stęchlizną i moczem. Weszli po wyszczerbionych schodach i zatrzymali się przed obdrapanymi drzwiami w nieokreślonym kolorze. Funkcjonariusz zastukał energicznie.

– Policja! Proszę otworzyć!

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Policjant załomotał w drzwi, tak że musiała go usłyszeć cała kamienica, i powtórzył wezwanie. Wreszcie usłyszeli szuranie stóp, szcęk zamka i drzwi uchyliły się na staromodnym łańcuszku. W szczelinie futryny ukazała się twarz kobiety w wieku trudnym do określenia. Wyglądała na pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze mogła być koło czterdziestki. Cerę miała ziemistą, wielkie worki pod oczami, na włosach – suchych jak słoma i w takimże kolorze – resztki trwałe.

– Czego chcecie? – spytała zachrypniętym głosem.

– Czy tutaj mieszka Henryk Klimek?

– Nie ma go i nie wiem, kiedy wróci. – Kobieta chciała zatrzaskać drzwi.

– Klimek nie żyje. Chcemy zadać kilka pytań.

Wiadomość ta nie wywarła na kobiecie wielkiego wrażenia. Nie wyglądała na przejętą lub zaskoczoną. Przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „O Jezu! Znowu zawracają mi dupę”, ale zdjęła łańcuszek i wpuściła ich do środka. Przeszępując przez próg, Szmit zauważył, że ubrana była w poplamiony szlafrok, a na stopach miała rozdeptane kapcie króliczki.

Mieszkanie było równie zaniedbane, jak jego lokatorka. Linoleum na podłodze niemal lepiło się od brudu, ze ścian odłaziły wyblakłe tapety, pod sufitem widać było plamy zacieków, na których wyhodował się grzyb. Od dawna niewietrzone wnętrze przesycone było odorem zjełczałego tłuszczu i alkoholowego przepicia oraz wyziewami niedomytego ludzkiego ciała.

Kobieta zaprowadziła gości do dość dużego, umeblowanego straszonymi gratami pokoju: meblościanka z pewnością pamiętała jeszcze czasy Gierka, fotel, w którego tapicerce widniały dziury wypalone papierosami, koślawy stół, na którym stała bateria butelek po tanich trunkach. Butelki w ogóle dominowały w wystroju wnętrza: służyły jako świeczniki, jedną wykorzystano jako wazonik, w którym smętnie tkwiły zwiędłe polne kwiaty. Jediną porządną i czystą rzeczą w tym bajzlu był całkiem nowy czterdziestocalowy telewizor.

Pod oknem stał tapczan, na którym głośno chrapał mężczyzna w przeпоconym podkoszulku i slipach.

– Wstawaj, stary. – Kobieta potrząsnęła śpiącym.

– Czego, kurwa! – Mężczyzna łypnął okiem i odwrócił się na drugi bok.

– Sam jesteś kurwa! Gliny do ciebie.

– Właściwie to musimy porozmawiać z obojgiem państwa – wtrącił Szmit. Zaduch panujący w pokoju zaczynał przyprawiać go o mdłości.

Facet zaczął gramolić się z wyrka. Usiadł i bezwstydnie drapał się po kroczu. Miał tłuste włosy i nos przypominający kalafior w kolorze zgniłej śliwki. Wodził dookoła na wpół przytomnym spojrzeniem przekrwionych oczu. Nawet zwłoki Klimka prezentowały się lepiej od niego.

– Jadźka, zakrzętnij się. – Głośno czknął. – Zrób jakiej herbaty. Strasznie napieprza mi baniak.

– Nazwisko pana? – spytała Formela.

– Antoni Grzelak.

– A tamta pani? – Podkomisarz wskazała na kobietę.

– Moja sympatia, Jadwiga Budzyńska.

– Czy zamieszkiwał z państwem Henryk Klimek?

– Tak, a bo co?

– Klimek nie żyje.

– Szkoda chłopca.

– Czy funkcjonariusze mogą rozejrzeć się po mieszkaniu?

Grzelak wzruszył ramionami. Formela dała znak mundurowym, żeby przeszukali pozostałe pomieszczenia.

– Kurwa, ale mnie suszy. – Grzelak objął głowę rękami. – Jadźka, zrób tej herbaty!

– Może pani iść – zezwoliła policjantka.

Budzyńska wyszła do kuchni, a Szmit wymknął się z pokoju w ślad za nią. Rozpytanie Grzelaka zostawił Formeli. Prokurator chciał przepytac kobietę, tak żeby

para nie mogła nawzajem dopasowywać zeznań. Jeśli pojawią się rozbieżności, będzie można ich skonfrontować.

Kuchnia bez okien nie odbiegała wyglądem oraz poziomem zapuszczenia od reszty mieszkania. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, na stole stała przepełniona popielniczka, z której wysypywały się kiepy. W szklanym kloszu sufitowej lampy widać było cienie dziesiątków owadzich trucheł.

Kobieta nalała wody do czajnika i włączyła palnik gazowej kuchenki. Szmit usiadł na trójnogim taborecie przy stole.

– Pogadamy?

Budzyńska zdjęła ukrytą na okapie paczkę papierosów i zapaliła. Zaciągnęła się dymem.

– Jak umarł Heniek?

– Zabójstwo. Brutalne.

– Kurwa, dograł się wreszcie.

– Mieszkał tutaj?

– Tak – przyznała Budzyńska. – Byli z Antkiem kumplami spod celi.

– Jakie relacje was łączyły?

– Jeśli pyta pan, czy z nim sypiałam, to tak, czasem przyłąził do mnie, gdy starego nie było w domu, albo leżał schlany i nieprzytomny. Jednak dość rzadko, nie był już młody. – Przez jej twarz przemknął melancholijny uśmiech, w którym prokurator dostrzegł ślad lubieżności. Jakby przywołała wspomnienie dawnych seksualnych przygód, kiedy sama była bardziej atrakcyjna i jej amanci także więcej mogli. Obfity, choć obwisły biust

wylewający się spomiędzy połów szlafroka świadczył o tym, że kiedyś faktycznie mogła mieć powodzenie.

– Miał wrogów?

– Wielkich wrogów nie miał, przyjaciół zresztą też. Ale miał dłużni. Wisiał kilka patoli Rolmopsowi.

– Rolmopsowi? – Szmit drgnął i nastawił uszu. Dłużni? To był jakiś trop i potencjalny motyw sprawcy. – To nazwisko?

– Ksywka taka. Zdaje się, że na imię mu Robert, nazwisko na pewno będą znali pana kumple z policji.

– To on mógł zabić albo zlecić zabójstwo Klimka?

– Z pewnością, nawet tutaj przyłazili jego egzekutorzy, była z nimi ostra awantura. Tylko że ostatnio Heńkię się z nim dogadał. Dostał odroczenie na miesiąc. Mówił, że ma na oku grubszą kasę. To właśnie dlatego pojechał wczoraj na stocznię...

Woda zagotowała się i czajnik zaczął wypuszczać kłęby pary. Kobieta zakręciła gaz, z metalowej puszkii nasyła herbaty do kubka z bałwankiem i nalała wrzątku. Nie zaproponowała herbaty Szmitowi, który ze względu na czystość utensyliów i tak niczego by tutaj nie wypił.

– Może pani opisać wczorajszy dzień?

– Co tu dużo gadać. – Budzyńska usiadła naprzeciwko prokuratora i zdusiła niedopałek w popielniczce. Kupka popiołu rozsypała się na stół, lecz kobieta nie zwróciła na to uwagi. – Rano Antek z Heńkiem poszli na obchód, wie pan, zbierają puszki, złom, kartony, potem taszczyli urobek do skupu. Ja byłam w domu, zrobiłam obiad. Po południu oglądaliśmy telewizję. Pi-

liśmy z Antkiem wino, Heniek nie pił, bo miał to swoje spotkanie. Wyszedł na autobus sto pięćdziesiąt jeden do Gdańska o dwudziestej pierwszej dwadzieścia i już nie wrócił.

– Nie zaniepokoiło to pani?

– Często znikał na kilka dni. Miał swoje sprawy.

– Co to miały być za pieniądze? Z kim miał się spotkać? – Szmitowi spocily się ręce. Czuł, że jest blisko przełomu i dalej śledztwo pójdzie z górki.

– Nie wiem. Nie chciał nic powiedzieć.

„No to dupa” – pomyślał Szmit. – To byłoby zbyt proste”.

– A pani i konkubent resztę czwartku spędziliście tutaj we dwoje?

– Dokładnie. Dopiero rano wyszłam do sklepu.

– Czy Klimek miał telefon komórkowy?

– Tak.

– Zabrał go ze sobą?

– Tutaj go nie zostawił.

Szmit poprosił o numer, który zapisał w swoim smartfonie.

– Czy od wczoraj próbowała się pani z nim skontaktować?

– Dzwoniłam, ale ma wyłączoną komórkę.

– Jeszcze jedno. Czy miał jakąś rodzinę, kogoś, kto mógłby odebrać ciało?

– Ubezpieczalnia wypłaci zasiłek pogrzebowy? – Budzyńska ożywiła się, w jej oczach pojawił się błysk.

– Nie wiem, ale zdaje się, że świadczenie przysługuje tylko rodzinie.

Spojrzenie Budzyńskiej przygasło.

– Chyba miał brata, który mieszka gdzieś na Kujawach.

– Dziękuję, w tej chwili to wszystko. Ktoś z policji może jeszcze wezwać panią w celu złożenia zeznania do protokołu.

Budzyńska zabrała kubek z herbatą i oboje wrócili do pokoju. Grzelak w pół leżał na tapczanie i był wyraźnie cierpiący. Formela chyba już skończyła go maglować.

– Mieszkanie jest czyste – zameldowała i uśmiechnęła się samymi oczami, zdając sobie sprawę z niezamierzonej groteskowości tego stwierdzenia. – Znaleźliśmy trochę ubrań i drobiazgów Klimka, ale w sumie nic interesującego. – Nie musiała dodawać, bo Szmit zorientował się po wyrazie jej twarzy, że nie znaleziono również nic obciążającego lokatorów mieszkania. Nie okazywali oni głębszego żalu z powodu śmierci znajomego, lecz alkoholizm, tryb życia i środowisko marginesu, w którym się obracali, musiały już dawno pozbawić ich resztek empatii. Teoretycznie scenariusz, w którym zazdrosny Grzelak zabija konkurenta do wątpliwych wdzięków Budzyńskiej, był możliwy, ale doświadczenie i instynkt Szmita podpowiadały mu, że w tej sprawie para nie kłamała.

W kamienicy na Oruni nie mieli już nic do roboty. Opuścili mieszkanie i pożegnali się z funkcjonariuszami. W samochodzie porównali wersje gospodarzy Klimka. Relacja Grzelaka okazała się zgodna z tym, co opowiedziała Budzyńska. Szmit stwierdził, że za najbardziej prawdopodobny uważa motyw porachunków na tle niespłaconego długu.

– Myślę, że to obiecujący ślad – przyznała Formela.
– Pseudo „Rolmops” obito mi się o uszy. Taki mały watażka. Popytam chłopaków z pegie i pezet, powinni wiedzieć coś więcej.

– Niech pani przygotuje jego *dossier*. Trzeba go będzie przycisnąć.

– Mam go zwinąć?

– Zaczekamy z tym na rejestr połączeń z telefonu Klimka. Przefaksuję wniosek o udostępnienie bilingów do operatora. Lektura połączeń może dać nam dobry punkt zaczepienia.

Ustalili też, że Formela odnajdzie w Źródle – nowym wcieleniu systemu PESEL – brata Klimka i przez miejscową policję powiadomi o zgonie krewnego. Drogę powrotną pokonali w kilka minut. Szmit wjechał na wewnętrzny parking komendy.

– Pani podkomisarz, będziemy razem współpracować teraz i zapewne w przyszłości. Proponuję, jeśli nie ma pani nic przeciwko, żebyśmy przeszli na ty.

– Jestem Kaśka. – Podała mu dłoń, miękką i ciepłą, o wypiełgnowanych paznokciach. Wymienili się jeszcze numerami komórek i policjantka wysiadła. Przez chwilę patrzył w ślad za nią, bezczelnie wlepiając wzrok w jej zgrabne pośladki. Poruszała się sprężysto, a jednocześnie bardzo kobieco kręciła biodrami. Zaczął odliczać od dziesięciu. Odwróciła się przy czterech, wtedy odjechał.

W drodze do prokuratury rozdzwoniła się komórka, jako dzwonek miał ustawiony fragment piosenki *Strach*

się bać zespołu Lady Pank od słów: „Prokurator wytłumaczy ci to”. Klnąc pod nosem na czym świat stoi, zdołał jakoś odebrać, w ostatniej chwili naciskając hamulec, gdy samochód przed nim gwałtownie zwolnił.

– Cześć, Leo – usłyszał w słuchawce głos żony. – Odbierzesz z przedszkola Nastkę? Niestety mamy tutaj kociokwik i muszę zostać dłużej.

Agnieszka pracowała jako doradca podatkowy, a jej firma obsługiwała naprawdę dużych rynkowych graczy. Kiedy dopinali jakiś kontrakt, praca po dwanaście godzin na dobę była czymś normalnym. Szmit miał świadomość, że optymalizacja podatkowa często balansuje na granicy prawa, i jako prokurator odczuwał z powodu miejsca pracy żony pewien dyskomfort. Dawniej pracowała w kontroli skarbowej, ale kiedy zaciągnęli kredyt na dom, doszli do wniosku, że dobrze będzie zwiększyć dochody. – O Maćka się nie martw, Waldek go przyprowadzi.

– Myślę, że jakoś się wyrobię.

– Ciężki dzień? – spytała z troską. Za to ją kochał. W porównaniu z nią, która tyrała na nadgodzinach w korpo, on mógłby uchodzić za leniuszka.

– Truposz.

– Rozumiem. Niefajnie. W takim razie udanych łowów.

– To, co upoluję, raczej nie będzie się nadawało do zjedzenia w naszej jaskini.

Śmiech w słuchawce, w tle jakieś ponaglące głosy.

– Muszę już kończyć. Aha! Twój ojciec dzwonił. Wpadnie w niedzielę.

– OK. – Chociaż relacje syna z ojcem zostały niemal zupełnie zerwane w okresie dojrzewania, a od kilku lat, a ściślej od narodzin wnuków, były poprawne, starszy ze Szmitów zazwyczaj telefonował do Agnieszki, która zawsze była jego orędowniczką.

– Kocham cię.

– Całuski.

Zajechał na Piekarniczą. Zamierzał tylko przejrzeć zawartość paczuszki otrzymanej od Formeli i urwać się po małą.

Nienacki siedział zatopiony w papierach z podwiniętymi rękawami koszuli i rozsiewał wokół siebie woń potu. Z pewnością chciał wyprostować różne duperele ze swoich dochodzeń przed pójściem na urlop. Wybierał się do Grecji – ceny ze względu na problem uchodźców oraz na to, że było już po sezonie, były bardzo atrakcyjne. Wyglądało na to, że wyjątkowo będzie siedział w pracy do wieczora.

Szmit wydrukował i wypełnił wniosek w sprawie udostępnienia rejestru połączeń i zaniósł do kancelarii, żeby panie sekretarki wysłały go faksem z adnotacją „bardzo pilne”. Wrócił do siebie, otworzył foliową paczuszkę i wysypał zawartość na biurko. Nie było tego wiele: noszący ślady zużycia portfel ze sztucznej skóry, dwa bilety komunikacji miejskiej – jeden ważny, drugi skasowany – banknot dziesięciozłotowy i trochę drobnych, dowód osobisty, zdjęcie legitymacyjne dziewczynki, złożona na czworo ulotka wyborcza, długopis, paczka papierosów Sobieski, plastikowy grzebyk, napoczęte opakowanie chusteczek jednorazowych, scyzoryk.

Ze stosu przedmiotów prokurator wybrał fotografię i przyjrzał się uwiecznionej na niej osobie. Dziewczynka nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, miała pyzată buzię i warkoczyki. Zdjęcie było czarno-białe, podniszczone i wyglądało na dość stare. Widać było biały kołnierzyk szkolnego fartuszka, jednego z tych, które wyszły z użycia w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Sam pamiętał takie wdzianko z czasów szkolnych. Jeśli dobrze oszacował wiek fotografii, dziewczyna ze zdjęcia powinna teraz mieć około trzydziestu lat. Kim była? Szmit zanotował sobie to pytanie. Fotografię zeskanował do swojego smartfona i wysłał jako załącznik Formeli. Dołączył wiadomość tekstową: „Przyda się do okazania znajomym Klimka. Może ktoś będzie wiedział, kim ona jest”.

Następnie wziął ulotkę. Kandydat na posła reklamował się za pomocą typowych komunałów. Na zdjęciu polityk prezentował wystudiowany, plastikowy uśmiech, nazywał się Grzegorz Wiecha. Szmitowi zarówno jego twarz, jak i nazwisko wydawały się znajome. Pewnie kojarzył faceta z telewizji. Prokurator pomyślał, że ulotkę musieli wręczyć Klimkowi wolontariusze, bo jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, żeby zmarły interesował się polityką.

Poza tym nic ciekawego. Zgarnął wszystko do torebeczki, którą opieczętował, opisał i dołączył do akt. „Na dzisiaj wystarczy” – pomyślał. Mógł zbierać się do domu. Pożegnał Nienackiego, życząc mu udanego wy-poczynku, i zaszedł jeszcze do gabinetu swojej przeło-

żonej, szefowej prokuratury rejonowej Gdańsk-Oliwa, Adrianny Pusz-Wojtyszek.

– Można? – Wsunął głowę przez uchylone drzwi.

– Proszę, proszę, kolego Szmit. – Pusz-Wojtyszek była kostyczną kobietą po pięćdziesiątce. Nosiła garsonki w różnych odcieniach szarości, a jej znakiem rozpoznawczym były grube czerwone korale. Szmit nie pamiętał, żeby widział ją bez nich. – Jak tam nowe śledztwo?

– Są pewne obiecujące tropy. Przygotowałem wstępny plan czynności. – Położył na jej biurku dokument.

– Pan zawsze taki pilny – uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Na dzisiaj już kończę...

– W takim razie do poniedziałku. I proszę pozdrowić tatę.

Szmit zapewnił ją, że nie omieszka tego zrobić. To od razu przypomniało mu, dlaczego nigdy jej nie polubił. Jego szefowa zaczynała karierę jeszcze w latach osiemdziesiątych. Nie nazwałby jej PRL-owskim złogiem i nie wiedział nic o tym, by miała na sumieniu jakieś draństwo z minionej epoki, jednak to właśnie wówczas poznała jego ojca. Nigdy nie dobiekał w jakich okolicznościach. Miała charakterystyczną dla ludzi ukształtowanych w tamtym systemie zdolność „ustawiania się” i była dyspozycyjna wobec każdej władzy, przy czym jakimś szóstym zmysłem wyczuwała nadchodzące zmiany i zawczasu zmieniała front, zawsze porzucając w porę aktualnych włodarzy na rzecz ich następców.

Szmit odebrał Nastkę z przedszkola przy Burgaskiej, zjechał z Moreny ulicą Rakoczego i za wiaduktem kolejki metropolitalnej skręcił w Potokową. Jeśli nie było korków, z pracy do domu w Matemblewie miał nie więcej niż dziesięć minut jazdy. Osiedle, na którym mieszkał, przypominało ucieleśnienie *American dream*. Rzędy bardzo podobnych jednorodzinnych domków bliźniaków i szeregowców, każdy z garażem i zadbanym trawniczkiem. Z tym że konstrukcja budynków ze spadzistym dachem była o wiele bardziej solidna od ich amerykańskich odpowiedników. Z okien miał widok na las i morenowe wzgórza.

Waldemar i Maciek także byli już w domu. Starszy z synów Szmita, który uczęszczał do uchodzącego za elitarne katolickiego gimnazjum de La Salle, odebrał młodszego brata z sąsiedniej podstawówki. Szmit odgrzał im obiadokolację. Nastka niechętnie rozlała zupę, przez co miał dodatkową robotę. Miała jednak taką skruszoną minkę, że nie potrafił się na nią gniewać. Wytarł zalany stół i podłogę, naczynia powkładał do zmywarki. Później pobawił się trochę z małą, Maciek poszedł pograć na komputerze, a Waldemar pouczył się do sprawdzianu z matmy. Akurat od matematyki powyżej poziomu szkoły podstawowej Szmit starał trzymać się jak najdalej, nie miał głowy do nauk ścisłych i Waldek mógł liczyć tylko na pomoc mamy. Agnieszka zadzwoniła, że będzie później, niż się spodziewała, bo chce jeszcze pójść na trening fitness. Wobec tego sprawdził, czy Maciek ma odrobione lekcje. Oczywiście

nie miał, więc musiał wyłączyć mu komputer, wysłuchując wypowiedzianych półgębkiem złorzeczeń. Potem dopilnował, żeby młodsze dzieci umyły zęby. Przytąpał Maćka na tym, jak bawił się jego elektryczną golarką, naśladował tatę i udawał, że przycina sobie nieistniejący zarost. Szmit pomyślał o tych wszystkich chłopcach wychowywanych przez samotne matki albo babcie. Jakie oni mieli wzorce? W swoich łazienkach mogli znaleźć najwyżej maszynki do golenia nóg.

Nastka domagała się, żeby poczytać jej na dobranoc. Waldemar włączył muzykę, jakąś deathmetalową kapelę. Szmit kazał mu założyć słuchawki. Jak na razie słuchanie ryków do mikrofonu było jedynym przejawem nadciągającej burzy hormonów oraz młodzieńczego buntu. Poza tym najstarsza pociecha chyba odreagowywała w ten sposób swoją katolicką szkołę. Jednak oprócz tego Waldemar był odpowiedzialnym chłopakiem, wyżywał się w sporcie i był bardzo opiekuńczy wobec rodzeństwa. Szmit uważał pierworodnego za swój i Agnieszki sukces wychowawczy. O dziwo, gorzej szło z Maćkiem, który miał rogatą duszę i zaczynał zdradzać łagodne symptomy uzależnienia od komputera.

Dopiero teraz Szmit miał trochę czasu dla siebie. Obejrzał wiadomości – mówili o zawetowaniu przez prezydenta Dudę ustawy o uzgadnianiu płci; zrelaksował się w wannie i wypił niepasteryzowane piwo z regionalnego browaru (koncernowych szczyń nie uznawał!). Udało mu się wcale nie myśleć o pracy, chociaż w poniedziałek na wokandzie była sprawa, w której oskarżał. Wresz-

cie wróciła Agnieszka. Od razu pobiegła pod prysznic i prosto z łazienki wskoczyła do łóżka. Szmitowi zebrało się na amory. Czy to wcześniejsze towarzystwo młodej policjantki tak go pobudziło? Przysunął się bliżej żony i wsunął dłoń pod jej satynową koszulkę.

– Nie dzisiaj, kochanie – wymamrotała, odwróciła do niego głowę i dała mu całusa. – Jestem wykończona. – Ziewnęła. – Pomyślimy o tym w weekend.

Dał jej spokój i próbował zasnąć. Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie jędrne pośladki Formeli ciasno opięte spodniami. Poczul mimowolny wzwód. Zerknął na żonę. O dwa lata młodsza od niego, była nadal atrakcyjną i zadbaną kobietą. Po trzeciej ciąży regularnie uczęszczała do rozmaitych spa oraz katowała się w siłowniach fitness, żeby zachować figurę. Jednak czas płynął nieubłaganie, a on widział ją codziennie rano bez makijażu i stanika push-up. Skóra nie była już tak gładka, pojawiły się zmarszczki i rozstępy, a mięsień Kegla nie był tak wyćwiczony jak niegdyś. Nadal uprawiali udany seks, znali swoje ciała na wylot i wiedzieli, jak zaspokoić partnera, jednak nie było w tym dawnej namiętności, raczej konwencjonalna, zrutynizowana przyjemność. Czy dlatego o dwadzieścia lat młodsza koleżanka tak na niego podziałała? Świeżość i młodość przeciwko doświadczeniu wspieranemu chemią przemysłu kosmetycznego. Czy stawał się żalonym starszym panem, który szuka sobie młodej dupci do dymania w pokoju hotelowym? Bo nie mógł ukryć, że sam także się starzeje. Stale wydłużała się lista potraw, po których miał gazy, od czasu do czasu

dokuczały mu hemoroidy. Krytycznie spojrzął na spory brzuszek, który wyhodował na piwie i siedzącym trybie życia. Postanowił, że od jutra bierze się za siebie i wznowia treningi. Nie lubił mody na bieganie, ale chętnie spali trochę kalorii na rowerze.

Pogrążony w podobnych, dość próżnych rozmyśleniach, Szmit balansował na granicy jawy i snu, kiedy w jego świadomość brutalnie wdarł się natarczywy dźwięk telefonicznego dzwonka. Przez sekundę prokurator zastanawiał się, czy sygnał dobiega z komórki jego, czy Agnieszki, po czym zdał sobie sprawę, że irytujące ćwierkanie wydobywa się z aparatu stacjonarnego. Telefon ten właściwie nie był już używany (przynajmniej Szmit nie pamiętał, żeby z niego korzystał), ale ponieważ znajdował się w pakiecie z kablówką i internetem w cenie jednej złotówki, przetrwał prawie zapomniany i teraz dawał o sobie znać, zakłócając ciszę nocną.

– Boże, kto to może być o tej porze? – jęknęła wybudzona Agnieszka.

„Właśnie, kto?” – zastanowił się w duchu Szmit. Każda ze znanych mu osób zadzwoniłaby z pilną sprawą na komórkę.

– Może zaraz przestanie – wyraził przypuszczenie Szmit, ale po kolejnych trzech sygnałach stało się jasne, że była to płonna nadzieja.

Małżonka spojrzała na niego z wyrzutem i podniosła się z łóżka.

– Wstałbyś i odebrał, a nie leżysz i gapisz się w ten telefon jak cielę na malowane wrota – zagderiała, drep-

cząc do stojącego na komodzie aparatu. Szmit obserwował, jak w półmroku błyskają jej białe łydki.

Agnieszka podniosła słuchawkę.

– Słucham? – rzuciła wciąż jeszcze zaspanym głosem. – Słucham? – powtórzyła trochę gniewniej. – Rozłączył się. – Wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę na widełki. – Pewnie pomyłka.

Wróciła do łóżka, przywarła do boku męża i prawie natychmiast zasnęła. Wbrew niejasnym obawom Szmita telefon nie odezwał się ponownie, mimo to jeszcze przez długie minuty wpatrywał się w ledwo widoczny cień staromodnego aparatu. „Dlaczego nieużywany od lat zadzwonił akurat teraz? – zastanawiał się prokurator. – Dlaczego?”

Syn swojego ojca
Copyright © Dominik Sokołowski
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-348-6
epub ISBN 978-83-7995-349-3
mobi ISBN 978-83-7995-350-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Aleksandra Zok-Smoła
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Korekta techniczna: Ewelina Nawara
Projekt i adiacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Grafika na okładce: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybucha panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.- Michał Chmielewski, autor *Złe i Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE





PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozabawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.
Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE





ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

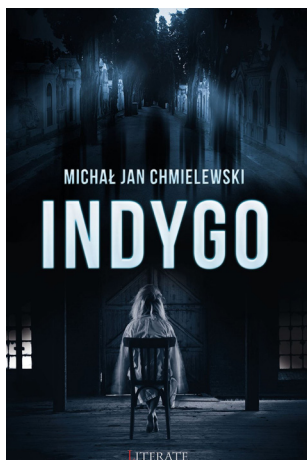
*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,
a zło zatriumfuje – Edmund Burke*

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziłiby się tej opowieści.





INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

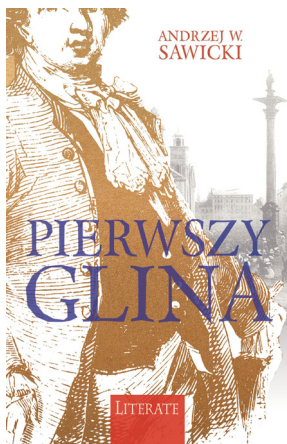
Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psychopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!



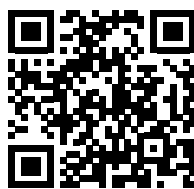


PIERWSZY GLINA ANDRZEJ W. SAWICKI

W grudniu 1807 roku spokojnym warszawskim Żoliborzem wstrząsa potężny wybuch, który niszczy pałacyk zajmowany przez oficera armii napoleońskiej. Policjanci z nowo utworzonego Wydziału Śledczego wszczynają dochodzenie, ale szybko zostają odsunięci od sprawy przez Francuzów. Nie dają za wygraną, bo Warszawa to ich miasto i zabójcy nie będą się tutaj szarogęścić. Szybko okazuje się, że afera sięga samych szczytów władz Księstwa Warszawskiego...

Kilka miesięcy później w swoim kantorze przy ulicy Gęsiej został brutalnie zamordowany Leopold Atalias, szanowany żydowski finansista, jeden z pięciu wekslarzy wybranych do ustalania kursów i stóp procentowych w Księstwie Warszawskim.

Czas, miejsce i narzędzie zbrodni wprawiają Glinę w konsternację. Wszyscy funkcjonariusze Wydziału Śledczego zostają oddelegowani do rozwiązania sprawy. Podejrzani są jednocześnie członkowie rodziny, wierzyciele, konkurencja zmarłego, a nawet agenci wywiadów Rosji i Prus. Nie da się również wykluczyć udziału ortodoksyjnych kabalistów lub religijnego motywu zbrodni.





BLUES O KRWI I TRAWIE PAWEŁ CIEĆWIERZ

Nadię Wid i Ryszarda Zwierza połączyła sprawa zaginionej dziewczyny, która na krótko pojawiła się w życiu każdego z nich. On, mężczyzna z przeszłością, były bokser, obecnie mało znaczący śląski handlarz ziołem. Ona, kobieta z przyszłością, kiedyś najlepsza dziennikarka śledcza, obecnie celebrytka.

Czy poradzą sobie na śląskiej „ulicy”, na której seks, przemoc i narkotyki spotyka się częściej niż bezpłatne miejsca parkingowe? Czy są w stanie zaufać sobie na tyle, żeby wmieszać się w najbrudniejsze interesy? Co zmieni się, kiedy sprawa zaginionej dziewczyny nabierze kontekstu politycznego, a bardzo wielu ludzi poczuje się zagrożonych ich dociekliwością?

Istnieją miejsca, które piętnują duszę i serce. Istnieją zbrodnie, których nie można wybaczyć i zasady, których nie można złamać!

Ryszard i Nadia mogą ostatecznie liczyć tylko na siebie. Czy tyle wystarczy? Wierność ma w końcu swoją cenę, nieszczęśliwie wysoką w świecie dilerów i dziennikarzy.

